

DOMINIKA BUDZIŃSKA

NIEWOLNICY SNÓW



CZĘŚĆ I



DOMINIKA BUDZIŃSKA

***NIEWOLNICY
SNÓW***

CZĘŚĆ I

© Copyright by
Dominika Budzińska & e-bookowo
Korekta: Patrycja Żurek
Projekt okładki:
Krzysztof Krawiec

ISBN 978-83-7859-359-1

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie III 2014

Dominika Budzińska *Niewolnicy snów*

*Dla mojej ukochanej córki Julii,
bez której świat nie miałby tylu barw.*

Pokój był ponury i przerażająco ciemny. Gdzieś w oddali, jak przez mgłę, widać było niewielką smugę światła. Z trudem próbowała wdrzeć się do środka przez małe okienko, zabezpieczone mosiężną, gęsto plecioną kratą. W pomieszczeniu czuć było zapach stęchlizny i potworną wilgoć. Pomimo panującej wszędzie ciemności można było dostrzec poszarzałe ściany, na których gdzieś widniały brunatne cienie, zbliżone momentami do arabskich malowideł.

Martika leżała nieruchomo. Przyglądała się ogromnej lampie umieszczonej tuż nad głową. Starła się zrozumieć, gdzie jest, próbując przypomnieć sobie przynajmniej skrawki ostatnich zdarzeń. Lampa przypominała do złudzenia wielki reflektor ze szpitalnej sali operacyjnej. Dziewczynę ogarnął strach.

Zastanawiała się, jak tu trafiła, a przede wszystkim dlaczego. Nie mogła sobie przypomnieć. Próbowała odnaleźć w pamięci cokolwiek, co mogłoby choćby w najmniejszym stopniu pomóc wyjaśnić tę niepojętą sytuację.

Nagle jakby z oddali dobiegł odgłos zbliżających się kroków. Usłyszała zgrzyt ciężkich metalowych drzwi. Do pomieszczenia wkradł się lodowaty chłód, paraliżując ciało. Próbowała coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć

żadnego dźwięku. Nie mogła nawet otworzyć ust. Każda próba rozchylenia warg kończyła się bólem.

Oślepiło ją światło ogromnego reflektora. Po chwili jak we mgle zaczęły rysować się kontury postaci. Dobrze zbudowany mężczyzna z dość długimi, rzadkimi włosami pochylił się nad nią, po czym odszedł. Nie zdążyła zobaczyć jego twarzy. W jednym z jasnych halogenów, wchodzących w skład okrągłej lampy, ujrzała swoje odbicie. Zielonymi oczami wpatrywała się w zmasakrowaną twarz oszpeconą głębokimi ranami, z których powoli sączyła się krew.

Nie mogąc uwierzyć w to, co widzi, jeszcze raz dokładnie przyjrzała się ustom. Dopiero teraz pośród licznie pokrywających je strupów dostrzegła brązową nić. Wstrząsający widok na chwilę odebrał jej oddech. Miała zaszyte wargi. Poczuła, że się dusi. Przeszywający ból wbił się w ciało niczym ostry sztylet. Z każdą sekundą stawał się silniejszy. Przerażona, nie mogąc złapać oddechu i opanować narastającego strachu, straciła przytomność.

Kiedy się ocknęła, pokój był pusty. Mężczyzna zniknął, a wokół znów panowała ciemność. Poczuła ulgę. Ponownie zaczęła się rozglądać, badając wnikliwie każdy metr obskurnego pomieszczenia. Drzwi były uchylone. Z daleka dochodziły pojedyncze dźwięki klawiszy pianina. Brzmiały tak, jakby ktoś się bawił, nieudolnie uderzając w przypadkowo wybrany klawisz.

Czuła, jak wewnątrz cała drży, jak wali jej serce. Narastający strach był zbyt wielki, by mogła nad nim zapanować. Próbowwała się uspokoić, miała wrażenie, że za chwilę znowu straci przytomność. Jedyne, o czym marzyła, to

znaleźć w sobie jeszcze odrobinę siły, by jak najszybciej opuścić to koszmarne miejsce. Uciec jak najdalej. Uciec od myśli, które kłębiły się w głowie, od okrutnego obrazu, który ujrzała. Spróbowała wstać, lecz obolałe ciało leżało bezwładnie, nie mogła wykonać żadnego ruchu.

– To nie dzieje się naprawdę – pomyślała. – To niemożliwe! Błagam, niech ktoś mi pomoże! Zabierzcie mnie stąd!

Pani Royensen delikatnie stąpała po pokrytej włoską terakotą podłodze, cichutko krzątając się po kuchni. Zawsze wstawała najwcześniej, by móc wszystko spokojnie i dokładnie przygotować. Chciała zdążyć, zanim obudzą się pozostali domownicy. Stół, jak zwykle pięknie nakryty, przygotowany do wspólnego rodzinnego śniadania, wyglądał jak reklama nowego wystroju kuchni w ekskluzywnym katalogu. W niczym nie przypominał powszechnego mebla, służącego przeważnie do wypicia w pośpiechu porannej kawy i posmarowania dżemem lekko przypalonej grzanki. W tym domu jednak wszystko musiało być wyjątkowe i dopracowane z największą precyzją. I było. Emily Royensen osobiście dbała o każdy szczegół, składający się na codzienną egzystencję rodziny. Jako kochająca żona i jeszcze bardziej kochająca matka, a także doskonała pani domu czuła, że spoczywa na niej ogromna odpowiedzialność. W tej roli sprawdzała się wyjątkowo. Za nic na świecie nie zamieniłaby swojego idealnego życia. Wszystko, co miało ścisły związek z domem, a w szczególności z rodziną traktowała z należytą powagą i sprawiało jej to niewypowiedzianą przyjemność.

Tak jak dopracowany był świat pani Royensen, tak ona sama była perfekcyjna aż do przesady. Piękna kobieta, dość wysoka, z nieskazitelnie upiętymi w delikatny koczek

włosami, zawsze w niezbyt wysokich szpilkach i eleganckim ubraniu, mądrym i niezwykle zmysłowym spojrzeniem potrafiła oczarować każdego.

Mężczyźni podziwiali ją nie tylko za wygląd. Pani Royensen była czytaną i wykształconą osobą, z którą można było prowadzić wielogodzinne rozmowy na każdy, nawet najtrudniejszy, temat. Kobiety zazdrościły jej urody i inteligencji, a przede wszystkim ogromnej zaradności. Emily posiadała naturalną łatwość radzenia sobie z codziennymi, pozornie błahymi sprawami. Była lubiana za lojalność i pomoc, którą chętnie służyła w każdej sytuacji. Zawsze można było na niej polegać. Zawsze i bez wyjątku. Była po prostu idealna.

– Witaj, kochanie! – w kuchni zabrzmiał przyjemny męski głos, który na chwilę oderwał kobietę od misternych przygotowań.

Odwróciła się. Przez ułamek sekundy zdawało się, że widzi go po raz pierwszy. Poczula się tak jak wtedy, kiedy kilkanaście lat temu jedli pierwsze wspólne śniadanie. Wciąż był przystojny. Spokojnym krokiem podeszła i tak jak tamtego poranka przytuliła się mocno, wdychając głęboko jego zapach. Była taka szczęśliwa.

– Witaj, Adamie – szepnęła i pocałowała go w policzek.

– Gdzie nasza panna? Pewnie jeszcze słodko chrapie, nie przyjmując do wiadomości powagi dzisiejszego dnia – mężczyzna uśmiechnął się i usiadł do stołu.

– Już po nią idę. Mamy jeszcze czas.

Emily włączyła ekspres do kawy, zwinnym ruchem wrzuciła trzy grzanki do tosterka, a potem posłała mężowi

pełne oddania spojrzenie i ruszyła w stronę schodów, stając się iść niemal bezszelestnie.

Uchyliła delikatnie drzwi. Martika siedziała na szerokim marmurowym parapecie, na którym zawsze leżały kolorowe, miękkie poduchy. Było to jej ulubione miejsce. Ogromne okno, za którym widać było stare piękne drzewa i dziewiczy ogród skłaniało do codziennych samotnych rozmyślań, snucia marzeń i planów. Była zamyślona, jakby zupełnie nieobecna.

– Dzień dobry, córeczko – kobieta odezwała się po chwili. – Już wstałaś? – nie ukrywała zdziwienia. – Byliśmy z tatą przekonani, że wciąż smacznie śpisz. Nie chciałam cię budzić wcześniej – podeszła do dużego, zasłanego białą narzutą łóżka, poprawiła różową poduszkę, jeszcze raz wygładziła dłonią nierówne powierzchnie, po czym zaniepokojona brakiem jakiegokolwiek odpowiedzi spojrzała na dziewczynę. – Coś się stało? Denerwujesz się?

– Nie, po prostu źle spałam. Jestem trochę zmęczona.

– Zejdiesz na śniadanie? – zapytała, głaszcząc córkę po policzku. – Tata już siedzi przy stole – dodała – pewnie umiera z głodu.

– Dobrze, już idę – westchnęła i ociężale zwlekła się z parapetu.

Jak zawsze suto zastawiony stół prezentował się okazałe. Świeże owoce, półmisek drogich, wyszukanych serów, trochę chudych wędlin, trzy rodzaje marmolady babcinej roboty, jajka na bekonie, chrupiące grzanki, sok z pomarańczy, świeżo parzona kawa. Śniadania w tym domu zawsze były ucztą. Podobnie jak pozostałe posiłki. Jednak to właśnie poranną biesiadę Emily uważała za najważniej-

szą. Była przekonana, że tak celebrowane śniadanie w rodzinnej atmosferze daje człowiekowi radość i energię na cały dzień.

Martika prawie nic nie mogła przełknąć. W końcu udało się ją namówić jedynie na sok i pół banana. Wciąż nie doszła do siebie po nocnym koszmarze. Nie mogła też uwierzyć, że to ostatnie chwile spędzone w tym domu.

PODZIĘKOWANIA

Spełniło się moje marzenie. Szczęśliwie dobrnęłam do końca pewnego etapu i czuję, że powinnam za to podziękować. Dziękuję najbliższym i tym, którzy zawsze, w mniejszym lub większym stopniu są przy mnie. Dziękuję moim kochanym rodzicom – Irence i Stasiowi Budzińskim – za to, że jestem. Za cudowne dzieciństwo spędzone w bajkowej aurze przepięknej Juraty, za miłość, ciepło i ciszę. Za pomoc, wsparcie i to, że zawsze mogę na nich liczyć. Dziękuję mojemu mężowi, Ryszardowi Czachorowskiemu, za beztróskie życie pełne wspaniałych podróży i miłych niespodzianek. Za cierpliwość, spokój i czas, dzięki którym mogę tworzyć. Za to, że mogłam wreszcie spełnić swoje marzenie. Na końcu, ale za to najbardziej, pragnę podziękować najukochańszej istotce, mojej córce Julii za jej głęboką wiarę w to, co robię. Za to, że dała mi siłę. Za chwile radości i smutku, ponieważ wszystkie są dla mnie bezcenne. Za to, że bez niej prawdopodobnie nie powstałaby ta opowieść...

... i jeszcze wszystkim tym, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do tego, że historia ta ujrzała światło w tunelu księgarnianych półek...

Dla Was

Z wyrazami szacunku

Dominika Budzińska



Dominika Budzińska urodziła się w marcu 1972 roku. Absolwentka Wydziału Zarządzania na Uniwersytecie Warszawie. Po studiach rozpoczęła pracę w wydawnictwie w dziale marketingu. Od wielu lat związana z firmą medialną. Podróże i pisanie są jej wielką pasją od zawsze, ale dopiero ta powieść spełniła jej największe marzenie. *Niewolnicy Snów* to pierwsza część przygód młodej bohaterki i długo oczekiwany debiut literacki.